Nr. 42. We Lwowie, dnia 20 października 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

7)

Z piany Egeju.

(Baśń grecka).

— Ja gotów jestem dać nieco więcej — ozwał się Aryston, a zbliżywszy się do Tiry, szepnął jej do ucha:

— Może powoli porozumiemy się, Tiro... Kto wie, czy byś z czasem nie przełożyła mię nad innych?... Kto wie, czy nie dosięgłabyś wolności, miłości... obywatelstwa, małżeństwa?...

— Cóż to, „filarze Akademji", boskie echo „Boskiego"! — zawołał z nagłą żywością zbliżając się Antemijon. — Czyż i ty także stanąłeś w szeregu kupujących? A przecież mistrz wasz powiada, iż nie masz żadnej piękności w żadnem ciele: „niema nic dobrego ani pięknego w ciele, ani w żadnej innej rzeczy, tylko w duszy samej".

— To też — odparł poważnie Aryston — kupuję piękną duszę, zawartą w „brzydkiej" skorupie tego ciała....

— Jeśli jesteś tak wielkim amatorem „dusz" — zawołał śmiejąc się Teages — otwieramy ci szeroko wszystkie dusze nasze. Kop z tej skarbnicy nieprzebrane skarby piękności, a to jedyne „brzydkie" ciało pozostaw nam, ślepym na „piękno prawdziwe".

— „Mądrość jest królem nieba i ziemi"! — wtrącił uroczyście Charmides. — Dusza w takim razie królową piękności. Darujemy ci tę piękną parę królewską, która się wcieliła w postać Platona. Wracaj do domu, do Aten, aby się przespać, jak należy — i wchłaniać jutro ze świeżą głową „boskie rozkosze" z ust Platonowych płynące!

— Pobiję was tym samym orężem obusiecznym — uśmiechnął się Aryston — „Dostawszy się na ten świat, poznajemy piękność wyraźniej niż wszystkie inne istności za pośrednictwem najbardziej świetlanego z naszych zmysłów. Wzrok jest rzeczywiście najsubtelniejszym z narządów ciała; a piękność ma to do siebie, że jest najmilszą i zarazem najwydatniejszą." A więc wolno mi wzrok mój upajać tą „najmilszą i najwydatniejszą pięknością" — jak i wam wszystkim. Dla tego zaś abym mógł na nią patrzeć, muszę ją posiadać.

— A jednak — odparł Antemijon, przybierając pozę i głos mędrca, głoszącego naukę — „żaden wykwint rysunku, żaden blask kolorytu — nie zastąpi przymiotu moralnego".

— Źle obrachowałem się, obywatele! — zakrzyknął nagle Arystarchos. — Podnoszę cenę do dwóch talentów. Inaczej skrzywdziłbym siebie, obraził Hermesa niezrozumieniem boskich wyroków jego i tak niskiem szacowaniem łaskawych jego darów..

— Jakto? wymagasz podwójnej kwoty?! — oburzył się Teages. — Zrazisz mię i odstąpię, a wtenczas nikt ci nie da i połowy...

— Owszem, ja mu dam tyle ile żąda — rzekł spokojnie Demadokos, wyjmując kiesę z pod chitonu. — A więc dziewczyna moja... Być może, iż ją odsprzedam.

— Jeżeli „ty" masz mię zwyciężyć, to ja się znowu nie dam. Przecieżem dziesięćkroć bogatszy od ciebie. Dają o dwie miny więcej.

— I dwie miny zda się na chwałę Hermesową — rzekł Arystarchos.

— Szczególnie zaś na rozepchanie pękatej kiesy nikczemnego niewolnika jego, Arystarchosa! — zawołał zaciskając pięście Charmides. — Podwójnie! — czy to rzecz słyszana?! Bezczelność tego człowieka nie zna doprawdy miary.

— Za to kieszeń twoja, obywatelu — zna ją wyśmienicie.

— A więc ja — wtrącił niedbale Antemijon — aby „przysporzyć chwały Hermesowi" - dodaję jeszcze minę, bo już mi pilno targ ten zakończyć. Zda mi się ta niewolnica do pilnowania ogrodu.

— Ty zaś staniesz się dziennym i nocnym stróżem tej strażniczki, by ci jej nie wykradziono! — zaśmiał się Sofroniskos.

Antemijon rzucił niecierpliwie ramionami.

— Niemiłosiernie pozwalacie się obdzierać temu handlarzowi! — i to mię istotnie oburza. Nie podnoście więcej ceny! Ułóżmy się pomiędzy sobą, a wszystko prędzej się skończy. Powziąłem pewną myśl rychłego i zabawnego zakończenia tej sprawy.

— Ależ ty całkiem nie miałeś brać w niej udziału! — zawołał niechętnie Charmides.

— A oto teraz gotów jestem, chociażby dla żartu. Należy się przecież i mnie, samotnikowi, jakaś nowa rozrywka.

— Mów! — ozwał się Sofroniskos — miewasz czasem świetne pomysły.

— A więc urządźmy tu coś na kształt sądu Parysa — tylko w odwrotnym stosunku: czynność sędziego wykona ta oto ziemska bogini, my zaś staniemy przed nią w roli współubiegających się rywali. Kogo raczy wybrać — ten ją posiądzie. Aby jednak nikomu krzywdy nie było, żadnemu z moich miłych gości i towarzyszy, aby wszyscy oni udział w „zabawie“ tej wziąć mogli, zapraszam wszystkich was stanąć do szeregu, gdyż tylko w ten sposób, przy licznym udziale obecnych — żart nasz udać się może. Cha... cha! Wybrany zaś wypłaci dwa talenty i trzy miny kupcowi; a jeśli mu pieniędzy tych zabraknie — pożyczę mu na czas najdłuższy brakującej kwoty, lub jeśli zechce, daruję ją po przyjacielsku. Byleście tylko nie sprawiali przyjemności staremu chciwcowi!...

— Nie może to być! — krzyczał Arystarchos. — To podstęp! ja na to się nie godzę! Syn Kleostena także się nie zgadza. Nieprawdaż, dostojny Teagesie? Nie chodzi ci tak dalece o marny pieniądz, o najmożniejszy i najwspaniałomyślniejszy? Dodasz mi jeszcze nędznych parę min, które dla ciebie nic a nic nie stanowią!

— Przecież ci więcej dawałem, niż Teages— zawołał oburzony Demadokos — a jednak udajesz, żeś tego nie zauważył, aby wykpić jak najwięcej od Teagesa.

— Ależ Teages tak czy inaczej pokonał by cię w końcu, obywatelu; nie tylko z wyglądu bowiem, lecz i z zamożności jest Herkulesem.

— Cóż powiesz, Teagesie? — przerwał niecierpliwie Antemijon.

— Czyżbyś chciał popsuć nam wszystkim zabawę, korzystając z przewagi bogacza nad przyjaciółmi i towarzyszami, którym zawdzięczasz stałe i rozmaite uciechy (więcej warte chyba niż parudniowa rozrywka z nowem cackiem), a których majątki nie zawsze idą w parze z przymiotami? Mielibyśmy wszyscy żal do ciebie!

— Pogniewalibyśmy się naprawdę!—ozwały się wszystkie naraz głosy. Byłoby nieszlachetnie zwyciężyć nas pieniądzem! Równość i sprawiedliwość przede wszystkiem. Sam się ubawisz! Ciekawa rzecz — kto będzie szczęśliwym wybrańcem?

— To jest, kto będzie otruty czy nożem pchnięty! — zaśmiał się Paralos.

— W obecnych warunkach i ja mogę wziąć udział w figlu Antemijona — zawołał Sofroniskos.— Tylko pamiętaj, przyjacielu, iż będę bezterminowym dłużnikiem twoim, jeśli Afrodyta wzrok jej skieruje ku mnie. Zabraknie mi niemało...

— A więc musisz ustąpić, Teagesie! — wołano dokoła.

— Ustępuję, aby zobaczyć co pocznie ta dziwaczna istotka w roli wyrokującej bogini... a potem nie ręczę! Nie ode mnie przecież sprawa zależy, ale od tego czcigodnego obywatela — odrzekł Teages, wskazując na kupca, który się nie posiadał z gniewu.—Zaczynajmy co prędzej.

— Do szeregu! —wołał z uśmiechem Antemijon. — Tak! doskonale! Teraz niski pokłon bogini — i jak tłumni zalotnicy Penelopy, czekajmy z drżeniem wyroku. Co prawda, małżonka Odysseja była szanowną staruszką po pięciu olimpiadach oczekiwania; — ta zaś, choć niewolnica, jest bądź co bądź królową młodości, najrozkoszniejszego królestwa.

Olza — czy Opór?

Radzibyście wiedzieć, Czytelnicy mili ze Śląska, [1]) która rzeka piękniejsza: wasza Olza, — czy też Opór we wschodnich Karpatach, gdziem latoś bywała? — Ha, trudno odpowiedzieć na to pytanie. Każda z tych wód inszą ma krasę, więc — co się komu podoba!

Źródła Olzy, na zachodniem zboczu Gańczorki bijące, słońce wita u wstępu do życia pieszczotą ciepłą. Jako srebro błyszczy w jego promieniach wodziczka przeczysta i cicho się kolebie w pierścieniu z drzewa, którym, niby kołyską lipową, otoczyła ją troskliwa ręka człowieka.

Dobrze tu młodej Olzie w ciepłych mchach, śród koronek paproci i szafirowych gwiazd goryczki, więc się nie rwie do świata, owszem zstępuje w dolinę ruchem miękkim, powolnym, — ot, niby góral śląski, co się kołysze rytmicznie przed muzyką w ulubionym owięzioku, nim dziewuchę uchwyci i warciej przytupnie.

Po opuszczeniu góry rodzimej, Olza płynie znowu jasną doliną. W czystej fali jej wód przeglądają się wzgórza zielone, złote łany zboża — i wioski dostatnie i bogaty Jabłonków. Gdy zaś Cieszyna doścignie, gdy zaszumi pod starą Piastów wieżą, a w zwierciadlanej jej tafli błysną złote krzyże kościołów i białe mury kamienic, — o wtedy Olza wygląda wspaniale, niby strojna gosposia śląska w sukni o tysiącu fałd, w aksamitnym żywotku (gorseciku), od srebra i złota świecącym, w czepeczku z koronek przedziwnych na głowie... Czuje też swoją godność i pewna siebie, zadowolona, majestatyczna, pomyka po ojcowiźnie bogatej coraz szerszą, głębszą, błękitniejszą falą. Zagląda do Raju, Frysztatu, Bogumina, idzie aż hań do krańców ziemi Śląskiej..

[1]) Artykuł niniejszy powtarzamy za ostatnim Nr. „Zorzy“, pisemka, które ma licznych odbiorców na Śląsku.

I w pośród śmiechu i żartów — z oczu jego strzelił ku Tirze miłosny rozkaz i odbił się w jej oczach łuną tajonego szczęścia... Minęła szereg młodzieńców z powagą i godnością o tyle szczerą i prawdziwą, o ile ich przybraną była i sztuczną. Stanąwszy zaś przed rzeźbiarzem, ozwała się doń tonem pół-żartobliwym, pół-smutnym:

— Obieram cię, obywatelu, jedynie dla tego tylko, iż mieszkasz nad samem morzem. Jeśli mi będzie źle u ciebie, rzucę się w te fale...

Chóralny śmiech, po części szczery, w części zaś sztuczny — był odpowiedzią na te słowa. Teages rzucił z niezadowoleniem ramionami.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

14) wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

III. Listy.

Listy Jana Kantego Andrusikiewicza z więzienia w Nowym Sączu.

Serdecznie ukochany Wojtusiu! *)

Piszę może ostatni raz do was; lecz Bóg wie, kiedy i te głoski odemnie Cię dońdą. Lecz dosyć — by tylko doszły. O losie mym sam nie wiem; co zaś nędzy i biedy, to nadto i to w piwnicy, o czem się kiedy od kogo dowiesz. Smuci mię los mych dzieci, a osobliwie myśl o drogich Rodzicach, których trudno podobno — bym mógł kiedy widzieć; ale cóż robić, Bogu się tak podobało. Całuję drogim Rodzicom ręce, polecając w opiekę moje dzieci i dziękuję oraz za moje wychowanie. Trapi mię mocno los Ich, z przyczyny bójki przy Gdowie i nadzieja w owsie, który może zrabowany, a Których może tak, jak wszystko moje w Chochołowie zrujnowano. Ja 4/4 prosił W. Konsyliarza, aby Tobie pozostałe dzieci z pozostałemi rzeczami, stajnią moją własną i chlewem oddano pod opiekę. Przyrzeczono i zanotowano; ale czy skutek jest? nie wiem. — Pozostało nawozu w 2 miejscach w dołach, któreby sprzedać można. Suknie, spodnie wszystkie, zegarek, 14 R. C. M. oddałem P. o czem i gosposia wie. — Zaś bieliznę, kamizelki i coś pieniędzy, — byłej Mamce Kajsce, którą znasz, a która w Cichem mieszka u Łatasów. Ta była mi przychylną, i spodziewam się — rzetelną będzie. Po tę — przez Stohandlową starać się trzeba — by do Ciebie przyszła, zamówić ją, a myślę, że odda wszystko. Tylko: czem prędzej, — tem lepiej i to ostrożnie. — U Bachmana mam 4 książki, u Sewielskiego około 18,

*) do brata młodszego Wojciecha Andrusikiewicza, organisty i nauczyciela w Krościenku nad Dunajcem.

Nie takie są dzieje Oporu — inaksze jego losy.

Na dzikim Jaworniku, u granic obcej ziemi madziarskiej, bierze początek. Kolebka jego stoi pod dusznym splotem czarnych, jako rozpacz, gałęzi smerekowych. Słońce nie pochyla nad nią przejasnej twarzy, tylko drażni czasem promieniem ostrym, jak grot. I człowiek tu nie zagląda. Jeno żmije jadowite kłębią się i syczą, jeno tur drzewiej, a dziś olbrzymi niedźwiedź karpacki — ryczą nad młodą wodeńką.

Opór słyszy te głosy potworne, wstrząsa się, drży, mieni, i oszalały grozą, skacze w przepaść, pędzi bez pamięci, łzami zimne głazy oblewa i huczy, jako burza!

Nareszcie — doliny dosięgnął!

Piękna, ale dziko piękna dolina!

Ze wszystkich stron odcięły ją od świata ściany wysokie, sztyrbne, niedostępne! Na północy stoi zła i chmurna Stara Szewela wraz ze siostrą swoją, Czarną górą. Ku nim przymknęły żałobne Korczanki. Od wschodu jeno, nad rwącą Zełemianką, śmieje się jasnemi połoninami Zełemin — zieleniéńki!

Nie gędziolą tym górom ptaszęta. Orzeł-kania krąży jedynie po nad szczytami i przeszywa powietrze krzykiem takim żałośnym, jak gdyby sam był ukrzywdzonym, nie zaś krzywdzicielem.

I słońce skąpi im swoich promieni.

Rankami dni pogodnych zalewa całą dolinę białe morze mgły. We świecie jasno — tu zmierzch. Słonko z trudem przebija te odmęty, błyśnie, jak szczęście — i ozłoci, rozraduje czarne lasy, góry, wody... Ale gości krótko i wczas ucieka za wysoki zrąb Swienencia...

We świecie znowu jasno — tu zmierzch...

Opór rwie się za słońcem, lecz góry nie chcą go puścić: przysuwają się bliziuteńko, zamykają drogę. On się opiera, dąsa, pieni, skałami ciska i — zwycięża!

I we świecie jednak zawód go spotyka: choć do wioski dociera, nie widzi bogactwa ni wesela.. W stodołach — pustka, w chatach zapadłych —

u Kottasa 7 i u Paszkowskich; wszystkie mym podpisem zaopatrzone. Te niechby u Ciebie zostały, dla dzieci kiedyś. — Bo może tyle pozostanie im; bo mi się zdaje, — że co zostało — jest już, albo będzie skonfiskowane. — Z dziećmi postąpcie — jak z Ludwikiem uradzicie. Nauki nie popłacają dziś, i nie ma o czem; niech będą uczciwymi rzemieślnikami, — to lepiej; w Nowym Targu niechby zostali w szkole. Romana napędzać, bo próżniak; zresztą proszę Was — bądźcie im ojcami. — Całuję Was oboje z dziećmi, moje dzieci, ks: Ludwika, Paszkowskich, a najserdeczniej najukochańszych i najdroższych Rodziców Rączki i Nóżki, - najprzywiązańszy syn, - a Wasz brat Kanty Andrusikiewicz, w piwnicy zamkowej w Sączu z 33-ma więźniami. d. 17. kwietnia 1846. —

Drogi bracie!

Od $^{18}|_{4}$ siedzę z p. S. po wyjściu z piwnicy, odkąd i lepiej się mi powodzi, co mi obejście się z p. Ko. Fiu. sprawiło. Gdyby on chciał, mógłby mi dużo pomagać; a przecież 2 razy życie ocaliłem mu. Dotąd w żadnej indagacji nie byłem. Prosiłem W. Kons. Guber., aby Tobie szczątki pozostałe po mnie wraz z dziećmi w opiekę oddać, - co zanotowano, ale skutku nie wiem. Przez drugich od Des. wiem, żeś był w Gdowie, ale nic więcej. Suknie moje czyś odebrał? były one u ks. S. — o czem i gosposia wie, a i więcej. Spodnie letnie cyrkasowe przyślej z odpisem małym, a węzłowatym, tą samą drogą, by przez kajdany przeciągnąć. Rodziców i Was wszystkich przebardzo całuję. Wasz Kanty. $^{16}|_{5}$.

Serdecznie ukochany Bracie!

Przyjemności — której doznaję z sposobności pisania do Ciebie — nie potrafię Ci opisać, a która się zwiększy po otrzymaniu zaspokajającej wiadomości o Was wszystkich mi drogich. Pamiętaj tę drobno na takim kartusiu nadesłać tąż drogą, którą już straciłem; ale Bóg dał, że mię znowu dano nazad do p. S. — Korzystając z tej sposobności, piszę do Ciebie, byś mi odpisał na poprzedzające moje życzenia, tj. czy Rodzice zdrowi, i czy nie mieli dla mnie jakich nieprzyjemności? dlatego, że u mnie byli przed powstaniem. — Chociaż — prawda — ja o tem nikomu i im nic nie mówił, jednak być może, że Rodzice byli, albo będą o to, lub o coś podobnego pytani, tak i ks. Brat. — Dotąd nie był w indagacji żaden z nas powstańców Chochołowskich. — Ksiądz Sutorski, który zupełnie o niczem nie wiedział, a o którym od niedawna dopiero wiem — że siedzi, dostał kajdany. Siedziałem także z ks. Prefektem Hełmeckim, ks. Makuchem i śp. Głowackim, który $^{14}|_{5}$ zmarł wskutek ohydnego obejścia się z nami. Jednak muszę Ci o tem po krótce nadmienić: Po poddaniu się mojem 24. lutego, które we wsi Cichem wskutek dwóch pchnięć bagnetem i cięcia dosyć mocnego pałaszem, z osłabienia nastąpiło, mimo, — wzgląd czynić powinnego mego obejścia się z p. komisarzem Fiutowskim, zostałem spluty po twarzy, i zbity w imieniu . . . . od oberkomisarza Einemera i strażników, a nawet za włosy i wąsy targany. W Nowymtargu zwolniono swą srogość, ale zato znowu w Sączu, wszystkich — jak nas widziałeś, bez wyjątku, księży, odzierano do koszuli z sukien, bito po twarzy, targano za włosy, szturchano, a jak mnie, to pół faworytu wydarto, poczem w koszulach tylko — wpychano na głowę do piwnicy i kijem — po razu każdy dostał w zepchnięciu. Wszyscy — jak byliśmy, dostaliśmy guzy, a ja na murze o mało sobie nie rozdarłem boku. — Rachowano nas w piwnicy kijem po głowach jeszcze. W tej ani słomy, ani okien nie było; my w koszulach 4 dni i nocy o głodzie i wodzie, t. j. pół bochenka chleba na dzień mając, w zimnie takiem, żeśmy zupełnie

---

płacz, — na stromej uboczy ino owies kistkami dzwoni od Maty do Maty, [2]) a potem śnieg białą śmiercią pola okrywa...

Opór leci dalej, na zarobek! Chciałby uchwycić siną falą jaką siedzibę ludzką, zamożną, jasną, a znajduje, wnet za Hrebenowem, mogiłę, straszną mogiłę. Śpi w niej, ale nie odpoczywa, od dziesięciu wieków, nieszczęsny kniaź Świętosław, przez rodzonego brata Świętopełka zamordowany.

Przejęty grozą, Opór odwraca falę od Kainowej mogiły, rzuca się na oślep przed siebie, a wicher, mocarny pan tych gór, szarpie go i smaga, aż zziajany, okryty pianą, bez tchu, wpada do ciemnego, jak więzienie, wąwozu, gdzie Wrota zawierają się nagle na Kłódkę, [3]) aby swobody go pozbawić...

Hej, nadaremny trud! Dziecię gór wolnych nie da się w ciemnicy zamknąć! Opór miota się, dziki i gniewny, dobywa reszty sił, rozpiera góry i wymyka z pod Kłódki.

Lecz nie chce dłużej walczyć i cierpieć. Krótkie miał życie, ale burzliwe. Pragnie kres mu położyć i siną wodą rzuca się pod Synowódzkiem w stalowe nurty Stryja, aby śmierć w nich znaleźć.

Nie od razu jednak umiera. Płynie jeszcze pod brzegiem, szafirowy i żywy. Wtem uderza o kamienne stopy Paraszki, zatacza się, wiruje, jakby nagłym obłędem rozpaczy porwany i znika, rozpływa się, ginie bez śladu...

Bo ta góra wysoka, najwyższa w całej okolicy, zaklętą posiada moc. Lud tak o niej gwarzy: [4])

---

[2]) Od Matki Boski Zielnej do Siewnej.

[3]) Wrotami dawniej, a dziś Kłódką nazywa się wąskie przejście między górami, po za którem leży dorzecze Oporu, kraik górski, zwany Tucholszczyzną od pierwszej osady Tuchli, która tu powstała w końcu czternastego stulecia.

[4]) Opowieść o górze Paraszce słyszałam dwukrotnie tego lata: od starszej gaździny z Hrebenowa, Anny Biczkowiczki i od Jurka Brazeńca, młodego górala z Tuchli.

całych nóg nie czuli, — przesiedzieli w ciągłem oczekiwaniu nowych katuszy. Aż dopiero 4. dnia dano nam zwierzchnie suknie, rozdzielono nas i do piwnicy pod zamek znowu spychano. W tej było cieplej, ale wilgoć ogromna z lejącej się wody po murach. Ale gołe deski ognietły ciało na dobre; dane sienniki nie pomogły, bośmy się rozchorowali wszyscy; nogi popuchły i ból nieznośny rwał po kościach. Do tego głód dojmował każdemu, gdyż niepodobna było 3 x. cm. zaspokoić głodu. Gdyśmy się na dobre rozchorowali, przydano garnuszek barszczu dziennie, ale i to nie zaspokoiło żołądka. — Wszy, tego nieznośnego owadu — nie mogłem od siebie pozbyć, bo w koszuli 8 tygodni chodzić musiałem, chociaż miałem swoje, o które prosząc, — w odpowiedzi: „by mię zjadły“ — otrzymałem. Innym dawano wojskowe, gdy swoich nie mieli, a mnie ani swoich, a bielizna w której byłem, dziurawą była i zgnojoną od wilgoci i brudu. Dopiero od Wielkiejnocy, gdy się dowiedziano o mem obejściu się z p. komisarzem, posłano święcone i przykrycie dosyć porządne na kozę od urzędników verwalterji. · Poczem przeniesiono z innymi z piwnicy do domu, gdzie bez pomocy lekarskiej samą naturą z ran się wygoiłem i dziś niejako do sił przychodzę. — Obchodzenie się lepsze cokolwiek niż było, ale słyszymy, że nas do Lwowa powiezą, a ztamtąd może na Kufstein, zaczem proszę Cię, poślej do drogich Rodziców dla mnie po dwie koszule i 2 gaci nowych, by były wyznaczone; także spodnie letnie i odpisz przytem, co się z mojemi dziećmi i rzeczami stało. Spodziewam się, że mi to jak najspieszniej uskutecznisz i pewny jestem, że i w tej mojej smutnej doli nie przestaniesz być dla mnie tem, czem byłeś i dawniej. — Może Bóg pozwoli, iż wysiedziawszy moję - Bóg wie — gdzie i jak długą — karę, powrócę znowu do Was; oby Bóg dał, by jeszcze drogich Rodziców — przy drogiem nam życiu zastać! — Łączę tu do nich karteczkę, którą odeślej. - Te karteczki zniszcz, bo gdyby się wydało, zaostrzonoby bardzo nasze — już dosyć grobem będące więzienie. — Tamte dwie kartusie gdyś odebrał, załatwij jak najspieszniej, a zwłaszcza o bieliźnie od Rodziców pamiętaj, bo inaczej musiałbym w skarbowych chodzić, i bez tej miłej przyjemności: mieć swoję bieliznę — obejść się. — Odpisz mi — jak z dziećmi i więcej; nie żałuj fatygi, bo to nie z Chochołowem korespondencja. — Może dziś, albo jutro wypadnie opuścić miłego p. S., a tem samem cała sposobność widzenia i otrzymania od Was — przepadnie, a to może na długie lata. — Boję się, by mię nie porwano przed odpisem od Ciebie. Spiesz, — pamiętaj — jak najprędziej!... Ks. Ludwika, Jasia z Karoleczką i córeczkę ich — jak Ciebie drogi Bracie z lubą Twoją Żoną, która poświęciła łzę dla Twego Brata w czasie mego przewozu, a z cacaną Kasią, płaczącą za stryjem — mym polubieńcem Kurtą, małym Wojtusiem — Jasiem krześnikiem — i co Bóg Wam da jeszcze, — najserdeczniej całuję. Pamiętajcie na mnie; to moje tu tchnienie jedynie Wam i przeszłości szczęśliwszej należy. — Bądźcie zdrowi! Wasz Brat Kanty Andrusikiewicz. —

Najukochańsi i najdrożsi Rodzice moi!

Smutny los, który nietylko mnie, ale i wielu innych z woli Najwyższego spotkał, już tu musi być wiadomy. Wiem, że smutkiem są drodzy Rodzice otoczeni, ale Ten, co zasmucił, to i pocieszy znowu. I mnie się także bardzo źle powodziło, a dziś nietylko od panów w kozie lubiony, ale i od urzędników szanowany jestem. Bóg wie — co się z owsem moim stało, i czy się choć drogiemu Tacie za furmankę pieniądze wróciły. Ten owies był całym moim gotowym majątkiem, który — mój niby — cały majątek -- do dzieci

---

Paraszka była drzewiej dońką — krasawicą. Kiedy w niedzielę zaodziała się w fałdzisty, u dołu haftowany i koronką oszyty fartuszek i katran[5]) czerwony, kiedy wzięła na siebie białą soroczkę z ustawkami wyszywanemi i sielankę,[6]) jak tęcza barwistą, nie było w całej wiosce piękniejszej dziewczyny. Nikt też nie poradził dorównać jej w robocie, ani w tańcu, ni w śpiewie. Ino zawdy żałośnie śpiewała. Zwidział jej się Jurko, szwarny mołojec i on ją zalubił strasznie, ale od ojców mieli surowo zakazane chodzić ku sobie.

I co się nie robi: ojcowie wypili wódkę z bogaczem, co miał połoniny wielkie, nie małe — i kierdel w dwie sotnie owiec — i onemu bogaczowi Paranię dają.

— Niech ta ogień spali trawę na połoninach! Niech ta niedźwiedź wydusi owce i krew z nich wypije! — Parania nie sprzeda się za bogactwa — Parania ćmawą nocką ślubną ucieka z lubym w góry, — precz od ludzi.

Ale kiedy słoneczko zabłysło na niebie, nalazła ją matula rodzona i przeklęła.

Parańka od klątwy matczynej jęła nagle blednąć, stygnąć, kamienieć, aże się w górę zmieniła taką wielką, jako wielkie było jej miłowanie...

A Jurko czołem uderzył o kamienne jej stopy, w rzekę się obrócił i został na wieki przy miłej. Gwarzy z nią odtąd we dnie i w nocy i płacze, i na swój los się żali...

Młody Opór słyszy jego lamenty, słyszy, jak całuje z rozpaczą obumarłe stopy lubej zimnemi wargami fal — i ginie — z żałości ginie...

M. Wysłouchowa.

[5]) Katran przedni fartuszek ze sztywnego czerwonego sukna.

[6]) Sielanka — misterna plecionka z drobnych różnokolorowych paciorek, w gwiazdki, kółeczka, krzyżyki, którą kobiety noszą tam na szyi.

należeć powinien, dlatego, że z wiana ich matki — ruchomości, książki nabyłem, a który — jak słyszę — przez strażników zniszczony i do reszty skonfiskowany został. — Gdyby się kto upomniał, możeby to zwrócili, ale bez tego i tak będą ludźmi przecie. — Może się kto szlachetnie myślący znajdzie, co pomoże. Teofil gdyby mógł być organistą, byłoby dla jego oka najlepiéj, a Wojtuś by go wyuczył. Romana możnaby dać daléj, gdyby było o czém. Proszę drogiéj Mamy o wyznaczone — gdyby całem imieniem dwie koszule i dwoje gaci nowych i nadesłanie tych jak najprędzéj do Wojtusia. Było nas w Sączu uwięzionych przeszło 300, ale dziś podobno 100, zaczem spodziewamy się, że do indagacji wnet i na nas kolej przyjdzie, a wtenczas może do Lwowa, albo wprost gdzie za świat nasz kochany wywieziony będę. — Oby Gdów jeszcze — by w przejeździe widzieć!! — Księdza Ludwika proszę, aby za żoną w rocznicę 9. Września Mszą Św. chciał odprawiać, a ja za niego znowu paciorek odmówię. — Może być, że on, jak i drodzy Rodzice będą mieli z przyczyny mojéj nieprzyjemności dla tego, że w tym tygodniu powstania byli u mnie, jak i on, chociaż prawda – nic nie mówiłem o podobnych rzeczach, bo dopiero po odjeździe, — przez nieznane mi osoby pod karą śmierci do tego zmuszony zostałem, co i wykonałem, a o czem jak Ks. Brat, tak i drodzy Rodzice nie wiedzieli, ani mogli wiedzieć. — Na to jednak względu nie ma i każdy z panów musi się z tego tygodnia z każdego dnia rachować, gdzie, po co — był. — Lecz — cóż robić? takie przeznaczenie, – przy jednych muszą i drudzy cierpieć. – Dzieci pozdrawiam i całuję serdecznie, niech teraz chodzą i boso do szkoły; lepiej że się przyzwyczają zawczasu do biedy, bo trochę wygodnie dotąd wychowałem je. — Roman trochę próżniak; trzebaby z nim ostrzéj postąpić; gdyby się nie chciał uczyć, niech idzie do rzemiosła, i tam są ludzie, byle był tylko uczciwym człowiekiem. — Drodzy Rodzice niech się nie martwią mym losem, bo już teraz lepiéj trochę, a gorzéj — niepodobna — aby już było; i śmierć nie byłaby mi niespodzianką, która już była i pożądaną. — W. Ks. Prob. Kusionowiczowi — łączę mój powinny ukłon. — Może nie raczy z zawodu Brata być urażony i co Jego wspaniałomyślność wskaże, na tych mych biednych — bez Rodziców – synków ofiarować zechce. Za przeszły rok otrzymałem tylko 100 R. W. W., od: 26. Listopada 1845 do 21 Lutego 1846. na nowo nic nie otrzymałem. — Przytem kończę, całując najukochańszym, drogim mojemu sercu Rodzicom rączki i nóżki, do grobowéj deski najobowiązańszy i najwdzięczniejszy syn Kanty Andrusikiewicz. —

N. B Dałem oberstrażnikowi Wolfartowi, który mię eskortował do Sącza — 4 cwancygiery, by dług za wino — za kwitkiem w Suchéj górze zapłacił. —

(C. d n)

17) # O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

c). Zdolny i pracowity literat, skończywszy uniwersytet w Kijowie, kandydat U. pił bardzo umiarkowanie, nigdy się nie upijał, bo tylko przy obiedzie i przy kolacji wypijał kieliszek wódki, albo parę kieliszków wina i gasił pragnienie, nie więcej jak parą szklankami piwa. Jeszcze będąc na uniwersytecie miał małe nieporozumienie, a z tej racji pojedynek z jednym ze swoich kolegów, bardzo pomysłowym fizykiem. Po ukończeniu studjów, pogodzeni koledzy rozjechali się w dwie przeciwne strony. Literat zaczął namiętnie zajmować się wirującymi stolikami. Wywoływał duchy rozmaitych poetów, najczęściej jednak obcował z Homerem, nie umiejąc wszakże po grecku, konwersował z nim po polsku. Odebrawszy pewnego razu od Homera rozkaz pisania dalszego ciągu Pana Tadeusza, zabrał się do tej czynności z wielkim zapałem, już miał parę tysięcy wierszy gotowych, gdy niespodzianie zjawia się duch kolegi fizyka, drwi on sobie najcyniczniej z literata, nazywa go głupcem za to, że wierzy w stoliki wirujące, wyśmiewa Homera, korespondującego po polsku, słowem sprawia zamięszanie w umyśle literata. Ten ostatni chce się pozbyć nieproszonego gościa, ale na próżno; we dnie, w nocy, na przechadzce, w najliczniejszem kole znajomych, staje przed oczami literata ironicznie uśmiechnięty fizyk, drwi sobie najbezczelniej i nie daje mu spokoju „Homer polak“ „Pan Tadeusz w nowej koszulce“ woła do niego fizyk, jak się przed nami uskarżał nieszczęśliwy literat. Nareszcie postanawia on zmienić pomieszkanie, wybiera lokal w starem mieście, gdzie ściany są masywne, grube, zalepia dziurki od klucza, zakleja okna i wieczorem pije wino »dobre, niefałszowane«, ażeby zasnąć na nowem pomieszkaniu, Sądził bowiem, że duch żyjących osób nie jest »przenikliwym«. Udało mu się też na ostatek

pozbyć fizyka z pokoju własnego, ale na nieszczęście, słyszy już z rana głos swego prześladowcy, odzywający się z sąsiedniego pomieszkania. Biedak, tego przenieść nie mógł zwarjował z rozpaczy, wywieziono go do Drezna, gdzie po usunięciu kompletnem napojów wyskokowych, wrócił na razie do zdrowia, ażeby wkrótce potem umrzeć na gruźlicę.

d) Dorpatczanin, młody bardzo chłopak, wychowany przez matkę wdowę, pieszczony jako jedynak, Teodor P., żył bardzo skromnie; przy obiedzie pijał zwykle wino i piwo, ale unikał długo wszelkich większych pijatyk. Zaraz po przybyciu do Dorpatu zaprzyjaźnił się z bardzo bogobojnym, przykładnie modlącym się na książce, już wtedy prawie na ukończeniu studjów będącym medykiem, Stanisławem Szablewskim, ten go wodził regularnie do kościoła, zalecił skromne i umiarkowane używanie trunków, a przedewszystkiem przestrzegał go przed złymi skutkami rozpusty, malował mu w czarnych kolorach następstwa zarazy, zwyradniającej człowieka a nadto i jego całe potomstwo, aż do najdalszych pokoleń. W ten sposób postępując, Szablewski był pewny, że ustrzegł swego pupila od wszelkich zboczeń, tem bardziej polegał on na swoich przestrogach, że ufał przyczynie świętych pańskich, bo podarował Hr. P. pasek św. Antoniego, który tak skutecznie uchronił jego samego od wszelkich pokus. A jednak inaczej się stało. Po jednej z pożegnalnych „knajp“ gdzie każdy musi być pijany, a więc i Teoś wraz z innymi, trafił ten ostatni, jak i wszyscy prawie z młodzieży ówczesnej pijącej, a także i dzisiejszej doby — do szpitala.

Tam był leczony bardzo starannie przez prof. Adelmana pod opieką prawie macierzyńską Szablewskiego; — leczenie jednak szło opornie i wymagało dużo czasu. Rekonwalescenta polecono dla wzmocnienia poić starem winem, odżywiać dobrze i wieźć nareszcie na południe. „Régime“ wskazane miał bardzo złe skutki, powoli wytworzyła się manja prześladowcza u chorego, miewał przywidzenia. Upiory straszne z zapadłymi nosami, z wygniłemi podniebieniami, prześladować go zaczęły, zdawało się jemu, że zaraża wszystkich: matkę swoją ukochaną, narzeczoną, młodziutką, zgoła całe swe otoczenie. Napróżno starali się go wszyscy przekonać, „że kalomel i sublimat niszczą do szczętu zarazki chorobotwórcze“ — nie dał się przekonać — zrozpaczona matka odwiozła jedynaka do domu warjatów i tam syn jej ukochany zakończył życie pono trucizną — chcąc w ten sposób uchować ludzkość przed zwyrodnieniem, do wytworzenia którego on sam ze swej strony przyczynić się nie chciał.

4) O procesie zdwajania się osobowości u pijanych na Syberji słyszałem opowiadania liczne, sam zaś obserwowałem wypadek następujący.

Inżynier górniczy, w randze generała, Niemiec rossyjski D. pijał regularnie, ale umiarkowanie, a tylko w towarzystwie, podczas uczt uroczystych, wychylając kieliszki toastowe, pozwalał sobie na okolicznościowe nieumiarkowanie. Zwykle po takiem upiciu się miewał przywidzenie, zdawało się że jego osobowość rozpadała się na dwie połowy samodzielne, te wiodły spór pomiędzy sobą. Trzeźwa osobowość łajała pijaną, kłótnia wzmagała się coraz silniej, niekiedy przychodziło nawet do bicia, przyczem uderzał siebie po twarzy pijany generał, co miało być wyrazem kary, wymierzonej przez połowę trzeźwą za to, że się tamta upiła. Nazajutrz po wytrzeźwieniu się, przypominał sobie generał D. wprawdzie niejasno o zajściach dnia poprzedniego i utrzymywał, że go ktoś strofował, że mu robił wymówki, najczęściej sądził że czynił to duch córki ulubionej, Amalji, której fotografię nosił zawsze ze sobą, był on bowiem przekonany o możności obcowania duchów żyjących osób, pomiędzy sobą i osobami umarłych, to też w każdej dla niego ważniejszej sprawie zasięgał rady u ducha swej córki, stawiał wtedy jej fotografię przed sobą na stole, wpatrywał się w jej oblicze, przemawiał do niej pieszczotliwie, kładł się następnie spać i miewał we śnie widzenia z córką, mieszkającą stale w Petersburgu, wtedy kiedy on sam przebywał przez pewien czas na Syberji. Niewierzącym w obcowanie duchów, odpowiadał zwykle temi słowami: „może to i nieprawda, ale sama przyjemność konwersowania z moją Amalją jest dostatecznym powodem, ażebym wierzył w możność obcowania duchów! Taka logika prawdziwie alkoholiczna, uspakajała go zupełnie.

5) Przykłady manji religijnej, występującej na tle alkoholizmu, podałem uprzednio, tutaj na tem miejscu przywiodę jeszcze jeden przykład, dokładnie obserwowany w ciągu pewnego lat szeregu.

Do Dorpatu przybył w czasie mojego tam pobytu niejaki K., był to wysoki, tęgo zbudowany, o twarzy szerokiej, bez wyrazu, już około lat 30 liczący mężczyzna. Zapisał się na uniwersytet, lecz rzadko uczęszczał na wykłady, z powodu, że prawie nie umiał po niemiecku, ale natomiast bardzo pilnie odwiedzał kaplicę katolicką, modlił się całemi godzinami klęcząco, leżał krzyżem podczas podniesienia, lecz co już zupełnie było niezwykłem w jego pobożności, to upodobanie, a raczej namiętność służenia do mszy; stawał on co święto, massywny drągal, w mundur studenta uniwersyteckiego odziany, do pary z małym chłopaczkiem, posługującym zwykle przy nabożeństwie; krótka komża ze zbyt krótkiemi rękawami nadawała całej postawie niezgrabnej i ciężkiej wprost wygląd komiczny. Niemcy i Polacy innych wyznań, przychodzili z umysłu do kaplicy podczas nabożeństw, ażeby patrzeć na to niezwykłe widowisko. Jak długo trwało służenie do mszy K. niewiem, bom musiał opuścić Dorpat, stosunki przytem nasze wzajemne były w Dorpacie prawie zupełnie obojętne. Po dwóch latach, od czasu mego wyjazdu z Dorpatu, gdym bawił w Berlinie, zjawia się do mojego pomieszkania

w dzień upalny, czerwcowy, figura massywna, odziana w płaszcz ciepły watowany, z długą peleryną, w kaloszach ciężkich, głębokich, skórzanych i w czapce watowanej, kroju rossyjskiego, zwykle blinem zwanej; figury tej nie poznałem wcale, dopiero gdy gość wymówił swoje nazwisko i oświadczył, że jedzie z Dorpatu i ma mi zakomunikować wiadomości od brata, przypomniałem go sobie. Przy rozmowie wobec kilku kolegów medyków, z którymi wtedy gotowałem się do egzaminów, zapytałem K. dlaczego się tak ciepło odziewa, odpowiedział, że go ciągle ziębi, że się czuje słabym i że chciałby się zaradzić u którego z profesorów berlińskiego uniwersytetu. Zbadawszy symptomata jego cierpienia, uradziliśmy pójść do prof. Romberga, u którego wtedy pracowałem na klinice. Po dłuższej pogadance odprowadziłem K. do hotelu, o kilka kilometrów oddalonego od mojego pomieszkania: szliśmy pieszo i dość prędko, gdyśmy byli u kresu podróży zapytałem, czy mu nie gorąco w płaszczu, odrzekł, że ciągle czuje dreszcze. Wszedłszy z nim do numeru w hotelu, spostrzegłem butelkę z wódką, na pytanie moje, czy używa gorzałki, odpowiedział, że ona go jedynie rozgrzać jest w stanie. Umówiliśmy się następnie, że przyjdzie do mnie nazajutrz i że pójdziemy razem do kliniki Romberga. Dnia następnego gdy godzina umówiona minęła, a jego nie było, pojechałem do hotelu, ażeby się dowiedzieć czy nie zasłabł. Powiedziano mi, że raniutko tego dnia odjechał do Paryża.

(C. d. n.) *Dr Benedykt Dybowski.*

Z pism i książek.

Ludwik Puszet. „Nowe klejnoty miasta Krakowa“. Feljetony, Kraków, 1901, str. 46.

W książeczce tej, nader oryginalnie wydanej, omawia autor w sposób krytyczny, niekóre „nowe klejnoty miasta Krakowa“. A więc w pierwszym feljetonie— katedrę na Wawelu, w drugim — wieżę Zygmuntowską, w trzecim — gmach Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych i nakoniec w czwartym, ostatnim — trzy przedmioty sztuki plastycznej, zdobiące od roku podwórze bibljoteki Jagiellońskiej (pomnik Kopernika, tablicę rady miejskiej i tablicę akademji sztuk pięknych).

Zarzuty, które autor czyni tym „klejnotom“ streścić można mniej więcej w tych słowach: są to dzieła drugorzędne i „jako przypisek naszych czasów do tej wielkiej kroniki wieków“ stanowią one „bezpłodną mierność“.

P. Puszet każdy poszczególny „klejnot“ poddaje sumiennej drobiazgowej krytyce. Omawiając między innemi pomnik Kopernika, o którym się wyraża, iż uderza anachronizmem stroju, a co więcej, iż czuć w nim maskaradę, że jest on banalnym, źle postawionym i słabo wymodelowanym manekinem z opery Moniuszki — gani również i buty Kopernika, przypominające „gruby trykot“.

Na tem miejscu, korzystając ze sposobności przytoczymy od siebie anegdotę opowiadaną przez ś. p. dr. Władysława Wisłockiego († 4. czerwca 1900), kustosza bibljoteki Jagiellońskiej. Pewnego razu w czasie powstania 63 roku, wojska rosyjskie napadły z nienacka w nocy na oddział powstańców, w których liczbie i młody podówczas Wisłocki się znajdywał. W owej chwili krytycznej, ratować on musiał swe życie ucieczką bez wierzchnego ubrania i butów... W późniejszych czasach — jak opowiadał — niejednokrotnie zastanawiał się nad pytaniem, gdzie też się mogły podziać jego buty powstańcze?... Aż tu wypadek przyszedł mu z pomocą. W roku przeszłym ustawiono na dziedzińcu bibljoteki Jagiellońskiej pomnik Kopernika, na nogach którego poznał Wisłocki owe zgubione w ruchawce powstańczej, stare swoje buty...

O obliczu Kopernika, wyraża się p. Puszet, iż „nie mówi nam nic więcej, od tych pań, które podpierają napis „Öt forint“, na pięcioguldenowym banknocie“.

Pierwszy feljeton, zawierający ostrą krytykę restauracji katedry, której zarzuca brak poszanowania dla przeszłości i nieodczucie ducha historycznego i uroku artystycznego pomników tej katedry, — był w swoim czasie drukowany w „Czasie“ i wywołał burzę w krakowskiej „parafji“, zakończoną usunięciem kierownika feljetonu p. Estreichera. Redakcja „Czasu“ — jak pisze p. Puszet — „uznała za stosowne oznajmić, że ma zupełnie odmienne redakcyjne zapatrywania na sposób, w jaki powinny być odzłacane barokowe tarcze i inne tego rodzaju przedmioty. Administracja i drukarnia „Czasu“ nie wyraziły swego zdania w tej kwestji. Szkoda, bo drukarnia mogła być najbardziej kompetentną...“ Następnych więc feljetonów „Czas“ drukować już nie chciał. Nożyce redaktorskie okazały tu swą władzę, a na wieczną rzeczy pamiątkę, w omawianej przez nas broszurce, kończy pierwszy feljeton winietka, złożona z szeregu malutkich — nożyczek!...

W zakończeniu swoich „feljetonów“ wypowiada autor kilka słusznych uwag ogólniejszej natury: o stawianiu pomników, o komitetach, o krytyce, o publiczności i t. p. wiążących się organicznie z tem wszystkiem, co poprzednio powiedział, mówiąc o poszczególnych „nowych klejnotach miasta Krakowa“.

W końcu swej książeczki dodał p. Puszet rozdział zatytułowany: „Jeszcze o katedrze“, w którym ze sporym zasobem wiedzy faktycznej i dokładną znajomością historji architektury katedry, polemizuje z niektórymi ustępami artykułu drukowanego w „Czasie“, a specjalnie dla tego pisma napisanego przez p. Stanisława Tomkowicza, jednego z lepszych znawców naszych zabytków.

Kończy rzecz swą słowami:

„Chodzi tylko o rozstrzygnięcie kwestji: czy dla pokrycia fiaska, dla uniknienia „deprymującego wrażenia“ wmawiać w siebie i społeczeństwo, że chybione roboty są najlepszą rzeczą na jaką nas stać i do jakiej możemy dążyć, czy też zastanowić się, na czem polegają wady tych nieudałych pomników i jakie warunki wpłynęły na ich powstanie, t. j. czego na przyszłość trzeba unikać“.

H. U.

Z drukarni . A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.